

Rafał Pokrywka

Via Alpina

W OBRONIE POZYCJI ABSURDALNEJ (WOLF HAAS)

Ubóstwiany w rodzimej Austrii autor robi drugie podejście do napisania romansu¹. W Polsce znamy go jako twórcę postaci detektywa Brennera rozwiązującego kryminalne zagadki zatęchłych alpejskich prowincji. Tymczasem cykl o Brennerze przeżywa od kilku lat zastój, a Haas próbuje swych sił w absurdach narracyjnych, co zagwarantowało mu już rangę literackiego kuglarza z pierwszej ligi. Poprzednia powieść *Das Wetter vor 15 Jahren (Pogoda sprzed piętnastu lat)*, fikcyjny wywiad-rzeka z „pisarzem Wolfem Haasem”, w którym ten nie tylko opowiada historię pewnej miłości, lecz również flirtuje z prowadzącą wywiad, dogłębnie, zdawałoby się, wysondowała możliwości tekstu opowiadającego sam o sobie, otwarcie autotelicznego, grającego postacią znanego autora. Haas ma do tego prawo, jego nazwisko i twarz to już marka, i na okładce wydanego przez Deutscher Taschenbuch Verlag oryginału ujrzymy właśnie pisarza Wolfa Haasa trzymającego własną książkę w prostej, czerwonej okładce dtv. Chwała mu, że nie zdecydował się na *mise en abyme*. Metafikcyjny potencjał tekstu został i bez tego wystarczająco nachalnie zasygnalizowany.

Polski wydawca nie zawierzył chyba sławie Haasa i ozdobił tłumaczenie powieści okładką, którą od estetyki Harlequinów dzielą jedynie mniej nasycone farby i zapewne „luzacko” pomyślana czcionka tytułu. Podobnie było z polskim wydaniem wcześniejszego *Der Brenner und der liebe Gott* (polskie *Porwanie*, 2012) – w miejsce tabliczki czekolady z elegancko wytłoczonym nazwiskiem Haas pojawiła się nic nie znacząca grafika z nalepką „bestseller/fenomen kryminału”. Otóż Haas nie jest w Polsce marką. Ma to wielkie znaczenie dla odbioru jego powieści. W Austrii traktowany jako wytrawny gracz, którego trzeba czytać między linijkami, w Polsce będzie postrzegany jako autor sztampowy, czego dowodem wspomniana polityka wydawnicza, nie zaskakująca, jeśli pomnimy, co firmuje Burda. Obowiązkowy blurb na okładce książki nie zasugeruje nam wiele więcej – czeka nas zabawa, wzruszenie, dowcip i odprężenie. Gdzieś podziały się te wszystkie niedopowiedzenia. Nie pierwszy to taki przypadek w historii polsko-austriackiej wymiany kulturowej. Przypomnijmy powieści Daniela Glattauera, które u nas, opakowane w odpowiedni pastelowy *cover*, zginęły pod lawinami napierającej *chick lit*, chociaż niemiecka krytyka doszukiwała się w nich nowych objawień literatury romansowej.

¹ W. Haas, *W obronie pozycji misjonarskiej*, tłum. Barbara Tarnas, Burda Publishing Polska, Warszawa 2014.

Książka Haasa podzieli prawdopodobnie ich los, publiczność docelowa została tu bowiem nader wyraźnie zdefiniowana.

Stwierdzenie, że Haas napisał romans, obraża go podwójnie. Po pierwsze – żadnych uniesień (poza kilkoma erotycznymi spazmami) z jego książki nie wy czytamy, i to wbrew opinii prominentnego krytyka Denisa Schecka z telewizji ARD, który zapowiadał „najbardziej oryginalną historię miłosną od czasów *Wertera*”. Któryż to raz tekst Goethego został zwierciadłem dla geniuszu wschodzącej gwiazdy literatury miłosnej? Ten Haasowski *Werter* chciałby co prawda mówić o swym uczuciu pięknym językiem, brak mu jednak śmiałości. Dostajemy dialogi lakoniczne i przewidywalne, przeplatane wewnętrznymi monologami bohatera, w których co prawda wiele się dzieje, nic z tych fajerwerków nie staje się jednak udziałem jego wybranek. Te pojawiają się – dosłownie – z regularnością chorób odzwierzęcych, atakujących społeczność naszej planety.

Podobnie jak przez gwałtowne porywy miłości, bohater musi przejść przez wszelkie świńskie i ptasie grypy, wyzdrowieć, wrócić, zacząć nowe życie. Jeśli to ma być głęboka symbolika, którą można zestawić z burzami *Wertera* i jego świętymi drzewami (czytaj: drzewami miłości), to należy ubolewać nad kondycją współczesnych niemieckich romansopisarzy. Haas celuje jednak gdzie indziej, lecz uszło to uwagi tych, którzy chcieli zrobić z niego drugiego Goethego – to jest książka o jego sobowtórce jako twórcy. Głównym bohaterem nie jest Benjamin Baumgartner, mało mówny pół-Bawarczyk, pół-Indianin, lecz „pisarz Wolf Haas”, pokazujący swoim czytelnikom: patrzcie, co potrafię zrobić. Również z tego powodu mógłby się obruszyć na porównanie z weimarskim mistrzem. On już nie jest człowiekiem „prawdy i zmyślenia”, zamasyście kreślącym fabuły na szczytach, ponad którymi spokój. On jest dzieckiem swojej epoki, gdzie poza zmyśleniem nie istnieje nic.

To najciekawsza część powieści. „Uznany pisarz Wolf Haas” spisuje historię rzeczonoego Baumgartnera, który tak nieszczęśliwie zapada na (idąc tropem oryginalnych metafor) „chorobę miłości”. Gdzieś poza połową książki dostaje po głowie rękopisem od żony przyjaciela. Pod koniec dowiaduje się od jednej z bohaterek, jak przyjemnie było wystąpić w jego dziele. A więc czytamy w trakcie pisania. Nienowe to strategie, i tu słabość Haasa. Zafascynowany możliwościami opowiadania – mawiał, że bardziej interesuje go narrator niż opowiadane historie – robi wszystko, by wyżyć je do ostatniej kropli. W miejscach, gdzie narracja mówi ostatnie słowo, wkracza coś na kształt (nomen omen – wiedeńskiej) poezji konkretnej, jak eksperymenty futurystów, gdzie scena w jadącej windzie przesuwa się dosłownie przed oczyma czytelnika, poprzez nierównomierne roztrasowanie samotnego akapitu na kilku następujących po sobie stronach. Mamy jeszcze ślimaki, czcionkę malejącą do granic widzialności, ogromne wytłuszczone wykrzyknienia – prawdziwe wyzwanie dla edytora. Lecz znów więcej w tym zabawy, gry, nie tylko z możliwościami gatunku, ale i wytrzymałością papieru. Dobrze się to czyta, faktycznie jest wesoło, tak, jak obiecywali, lecz myśl, że można by kiedyś wrócić do tej książki, jest cokolwiek nieprzyjemna. Stąd lęk, że chodzi tu tylko o jakiś wizualny „entertainment”, bo

przecież sama treść niewybitna, poparta wprawdzie graficznymi perwersjami, cóż, skoro skierowanymi w próżnię.

Tym, co zostaje z tej książki, jest rzeczywiście narrator i jego więź z opowiadaną historią. Rzadko ironizuje się opowieści miłosne, rzadko odbiera się im cały ten niezręczny patos. Zrobił to u nas ostatnio Karpowicz w *Sońce*, opatrując tragiczną historię związku chłopki i nazisty komentarzami metanarratora opętanego wizją sceny, show i kasy. Zarówno Haas jak i Karpowicz zainteresowani są fikcją „prawdziwej historii”, sposobami jej inscenizacji, bocznymi drogami, wariantami, możliwościami dopowiedzenia. Nie są chyba jednak, wbrew temu co przypisuje im zauroczona krytyka, zainteresowani opowiedzeniem historii uczucia. Te metafikcyjne zabiegi są jak wentyle bezpieczeństwa, przez które można spuścić nadmiar patosu, wiadomo bowiem, że nie ma większej obelgi niż jego nadmiar. Obaj są pisarzami wychowanymi na przeświadczeniu, że pewnych rzeczy nie wolno już napisać ponownie, że wtórność musi być podbudowana świadomością wtórności. Niechętnie nazwijmy to przeświadczenie ponowoczesnym. Nie miał go Goethe i dlatego porównania powieści Haasa z jego bestsellerem muszą być śmieszne. Tu już nie chodzi o szczerłość miłości i „ludzką prawdę” przebijającą gdzieś spod zwalów papieru. Na pewno nie chodzi tu o dobro i piękno. Potraktowanie tekstu Haasa w kategoriach romansu musi doprowadzić do konstatacji, że romansu już nie ma – abstrahując od idących w miliony dzieł, na których okładkach widnieją rozmarzone kobiety w ciepłych swetrach pijące herbatę z pozycji bujanego fotela. To wystawia jednak powieści o miłości tym gorsze świadectwo.

Tytuł książki należy rozumieć odwrotnie, niż sugeruje polska okładka. Nie jest to manifest zwrotu ku tradycji poczynania dzieci, w stałym związku, z domem i kapitałem. Nie jest to powrót do prostych historii, pozbawionych perwersji oraz niepożądanych epizodów, z chronologiczną opowieścią i przyczynowo-skutkowym ciągiem scen z pożycia (spotkanie – zakochanie – związek – pozycja misjonarska). Jeżeli Haas chce już czegoś bronić, to będzie to prawo literatury do zaprzeczania samej sobie, prawo do deziluzji, w końcu – do absurdu. Tej książki nie da się bowiem wyjaśnić w terminach stosowanych zwykle w opisie akcji romansowej. Ta książka zjada niemalże dosłownie samą siebie, skoro sama jest swoją bohaterką. I moglibyśmy nazwać Haasa rewolucjonistą narracji, gdyby nie to, że autotematyzm ma tradycję niemal równie długą, jak sam gatunek powieści. Jednak nie to przecież będzie frapowało czytelnika austriackiego – on kupi powieść Haasa, bo stoi tam nazwisko Haas, a zza okładki na okładce wyłania się jego posiadacz. Fenomen pisarza w obszarze niemieckojęzycznym wykroczył już poza granice sztuki stawiania znaków na papierze, i te książki czyta się, bo on je napisał, a być może nawet będą o nim. Należałoby pomyśleć o zbudowaniu podobnej marki w Polsce zanim wprowadzi się na rynek powieść, która rozczaruje miłośników romansu i nie zadowoli fanatyków twórczości Austriaka – z tego powodu, że jeszcze ich nie ma.

Rafał Pokrywka